

Nie tylko gitara

Znacie? To posłuchajcie czegoś nowego. O piosenkach innych niż karaimskie, o wykształceniu nie tylko muzycznym, o bliskich mu ludziach i nieludziach opowie nam Misza Kuliczenko.

HANNA PILECKA: *Czy mogę zwracać się do ciebie per Misza, mimo że na koncertach i na okładce płyty występujesz jako Michał?*

MICHAŁ KULICZENKO: Oczywiście, że Misza. Przydatna na scenie polska wersja mojego imienia, znanego w wielu kulturach, brzmi Michał. Jednak urodziłem się jako Mykhailo, rodzice nazywali mnie Miszą, a moim pierwszym językiem nie był polski. Dlatego też chciałem z góry przeprosić naszych czytelników, bo rozmawiamy po polsku i mogę popełniać jakieś błędy językowe, coś może zabrzmieć inaczej, jakoś tak niezręcznie.

Skoro o językach mowa, to zacznę od najświeższych lingwistyczno-muzycznych wiadomości. 16 października we wrocławskim centrum kultury „Czasoprzestrzeń” wspólnie z Patrycją Betley, Karoliną Matuszkiewicz i Mateuszem Szmurajem daliście premierowy koncert trójjęzycznego programu pt. „Zakorzenie”. Chociaż nie udało mi się dotrzeć na miejsce, z wielką przyjemnością oglądałam transmisję online. Jaka była geneza tego projektu?

Pomyśl, żeby zaprezentować na scenie różne piosenki, w tym karaimskie, od pewnego czasu już chodził mi po głowie. Zaczęło się to od momentu, gdy powstała „Karaimska Mapa Muzyczna” – najpierw projekt, potem płyta, później miałem przyjemność zaśpiewać na premierze z Karoliną Cichą i Spółką. Tak naprawdę to dla mnie były zupełnie nowe doświadczenia, takie wyzwanie, czy mi się to uda, czy nie. Od tamtej chwili trochę już było koncertów z tym zespołem i pomyślałem, na początku bez konkretnego planu, że może warto, w miarę możliwości wspólnie z innymi muzykami, stworzyć program, w którym



oprócz piosenek karaimskich zaśpiewałbym inne utwory dla mnie ważne i cenne, te, z którymi idę przez życie. Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że w ramach obchodów dwudziestopięcioletnia istnienia województwa dolnośląskiego udało się zrealizować także i mój pomysł.

Nowy projekt muzyczny zespołu Michał Kuliczenko i Przyjaciele miał premierę we wrocławskiej „Czasoprzestrzeni”. Fot. Piotr Spigiel

W jakiej kolejności pojawiały się w twoim życiu te języki, w których śpiewasz?

Ukraiński towarzyszy mi od urodzenia, wyniosłem go z domu i nadal niosę, w sumie przez całe życie. Myślę, że język karaimski po raz pierwszy usłyszałem na Litwie, kiedy pojechałem na moje pierwsze zajęcia w letniej szkole w Trokach. Miałem wtedy bodajże czternaście lat. Po powrocie do Kijowa od czasu do czasu przeglądałem otrzymane w Trokach materiały, powtarzałem podstawowe zwroty i tak dalej. A język

łemkowski usłyszałem od *native speakers* w roku 2015, kiedy przyjechałem już do Polski. Wybrałem się na festiwal ukraińsko-łemkowski „Watra” i tam właśnie spotkałem dużo Łemków, którzy swobodnie posługują się tym językiem.

Podobało mi się, że podzieliłeś te paręnaście piosenek na spójne logicznie, lecz skontrastowane ze sobą zestawy. Także w sensie tempa i barwy emocjonalnej nieustannie byliśmy zaskakiwani nową jakością. Każdy taki zestaw poprzedzony był zapowiedzią i prosiłabym, żebyś tu i teraz ponownie nam je przedstawił.

Pierwsze dwa utwory nawiązują do podróży, dalekiej drogi. Ukraińska piosenka „Ręcznik” opowiada o tym atrybucie, który tradycyjnie jest wręczany na szczęście odjeżdżającemu, żeby los mu błogosławił – w tym wypadku matka podarowała go dorosłemu już dziecku. Drugi utwór, łemkowski „Hamerycki kraj” dotyczy poważnego dylematu, czy wyjechać z ojczyzny – i w tekście się wymienia, jakie są jego przyczyny, czyli że jest bieda, nie ma czym zacząć chleba, ale z drugiej strony tyle jest tu spraw i rzeczy miłych sercu, że koniec końców mimo logiki, mimo konieczności zarobienia pieniędzy, ten człowiek postanawia pozostać w kraju, bo za bardzo by tęsknił do rodziny, do widoków, gór i lasów. Pierwszą piosenkę znam od dzieciństwa, chyba ze szkoły podstawowej, drugą usłyszałem dopiero tutaj. Różnica w datach jest wielka, ale sens dla mnie ten sam. Jak widać, przez lata nie zmieniają się wartości.

Następne dwie piosenki były po karaimsku?

Tak, obie dość neutralne, uniwersalne, o sile miłości. Pierwsza to refleksyjna „Bahczafarda”, co znaczy: „W ogrodzie”, druga to „Elimdeki kemanem”, czyli „W rękę trzymam moje skrzypce”.

I właśnie tę drugą, o niesamowitym tempie i brzmieniu, widzowie wybrali na wasz bis... A kolejny blok?

Po ukraińsku, o tematyce wojennej. Co prawda w tych piosenkach opowiada się o wojnach dawno już skończonych, za czasów kozackich, ale też o walce o upragnione wartości – o wolność, o niepodległość. Myślę, że w sercu każdego obywatela państwa, które chcąc nie chcąc w swojej przeszłości uczestniczyło w wojnach, bo ktoś zaatakował i trzeba było się bronić, jest taka struna, która potracona, zawsze coś zagra. Dla mnie ten



Misza podczas Letniej Szkoły Języka Karaimskiego 2009 w Trokach – rekreacja przy dźwiękach gitary.
Fot. Szymon Firkowicz

temat jest niestety bardzo bolesny. Poczynając od roku 2014, moje życie się zmieniło i to ode mnie nie zależało. W roku 2022 zrobiło się jeszcze gorzej. Moja rodzina się znacznie zmniejszyła, bo niestety odeszła babcia i odszedł ojczym. W mojej ojczyźnie zaczęła się wojna i myślę, że każdy normalny człowiek wie, o co chodzi, na ile to jest straszne i niesprawiedliwe. Dlatego chciałem, nie nawołując do żadnej polityki, nie mówiąc wprost o dzisiejszej sytuacji, bo każdy na to patrzy pod swoim kątem, ale jednak – złożyć hołd tym, którzy już do domu nie wrócą, tym, którzy oddali życie albo zdrowie na polu walki, i przypomnieć, że jaka by wojna nie była, to nigdy w niej nie ma nic dobrego.

Ile piosenek było w tym bloku?

Dwie, przy czym pierwsza „Poleczko pole” opowiada o dwóch zabitych Kozakach leżących na polu porożonym kulami po bitwie, zdevastowanym totalnie. Jeden Kozak pochodzi z biednej rodziny, jest sierotą, na drugiego czeka w domu zamożna rodzina, ale żaden już w swoje strony nie wróci, bo poległ, walcząc tak jak inni – ktoś za ziemię, ktoś za rodzinę. To smutna pieśń o tym strasliwym obliczu wojny, jakim jest śmierć. A druga piosenka nazywa się „Oj na hori ta ženci žnuć” i odmalowyje obraz góry, na której właśnie trwają żniwa i ludzie zbierają wszystkie plony. Pod tą górą przechodzi wojsko zaporoskie, śpiewając pieśń marszową, żeby podnieść morale, dodać sobie odwagi.

Z historii, z tego, co czytałem, wiem, że w wojsku kozackim ogólnie panowała dość mocna idea walki za sławę i za wolność. Jako pierwszy jedzie konno hetman Doroszenko, swego czasu znany jako dowódca kozacki, a z tyłu jedzie hetman Sahajdaczny, który według słów piosenki wymienił kozacką fajkę i przydział tytoniu na żonę, czyli przypuszczalnie po prostu ożenił się i przekazał komuś obowiązki związane z hetmaństwem. Tu nie mówi się o okropnościach wojny, to jest po prostu taki wesoły marsz. Kto wie, czy był śpiewany przed bitwą, na którą żeby dotrzeć, trzeba mieć siłę ducha i odwagę do walki, czy może po udanej bitwie, kiedy żołnierze wracają i cieszą się, że wygrali, że ich życie potoczy się dalej... Tego nie wiem, ale mimo tej optymistycznej, marszowej melodii ta piosenka podobnie jak pierwsza dotyczy wojny, która niesie wyłącznie zło.

W kolejnym bloku zaśpiewałeś „Kiusiancz”, czyli „Tęsknotę”. Z czym zestawiałeś tę karaimską pieśń o miłości niemożliwej (a może jednak możliwej)?

Z łemkowską „Pid oblaczkom”, która ma formę monologu pana młodego czy może już męża albo po prostu wybranka dziewczyny. Obok rośnie jawor zielony, a on się zastanawia, czy ta miłość jest od Boga dana, czy może przez diabła podszeptana... Monolog przekształca się w rozmowę, a na końcu słyszymy pytanie: „Moja miła, co to z nami będzie, co nas czeka?”. Bardzo to wszystko naturalne, piosenka jest naprawdę ładna, więc stwierdziłem, że warto ją zaśpiewać. Dołączyłem jeszcze do nich ukraińską „Zagradowczkę”, o innym znowu aspekcie miłości. Mężczyzna śpiewa, że ma swoją małą zagrodę, lecz fiołki powoli w niej rosną, a jego miła jest smutna. Ona zmagą się z chorobą, więc wzywają doktora, ale okazuje się, że bardziej będzie potrzebna „baba”.

Taka wiejska położna?

No właśnie – i ta „położna” jak przyszła, to doradziła. A co doradziła? Że miła będzie kołysała. Dziewczyna co prawda się zarzeka, że to niemożliwe, że przecież ze swym miłym nie spała, no chyba że troszeczkę, chwilę po północy rzeczywiście popali. Czyli taki sympatyczny obrazek rodzajowy z ładnym motywem muzycznym. A do ostatniego bloku weszły ukraińskie piosenki, które opowiadają o sprawach codziennych, na przykład „Varenyczki” o pierogach. Śpiewany dialog rozpoczyna kobieta, bo jej mąż chce pierogów, ale ona nie



ma czym w piecu napalić, na co on się obrusza: „No to narąbaj”. Ona: „Ale już sił nie mam”, a on: „No to umieraj!”. „Jak umrę, to z kim dożyjesz dni swoich?”, pyta żona, a on odpowiada: „Z sąsiadką”. I wtedy ona: „No to chodź jednak do domu, ugotuję ci tych pierogów”. Czyli normalna sytuacja chyba za tamtych czasów. Przypominam, że te piosenki mają już swoje lata. I czasem ciekawie jest zanurzyć się w tę studnię przeszłości i mniej więcej przemyśleć sobie, jak to się żyło, kiedy nie było internetu, komórek, samochodów, jak ludzie sobie radzili, czym żyli, jak im dzień mijał od szóstej rano do wieczora. Wiadomo, praca w polu, ale coś jeszcze tam się działo, trzeba było coś zjeść, można było się napić jakiegoś dobrego trunku. Mi się to podoba i zawsze się podobało, cieszę się, że pochodzę z kraju, gdzie takie tradycje muzyczne po dziś dzień żyją.

A „Parowa maszyna”?

Szczerze mówiąc, choć to ukraińska piosenka, usłyszałem ją po raz pierwszy w Polsce na festiwalu „Watra”. Jest szybka, wesoła, taneczna, jak to się mówi po łemkowsku: „do zabawy”, tak więc stwierdziłem, że jak do zabawy, to i do repertuaru ją włączę. A ostatnia „Tyż mene pidmanuła” jest chyba najbardziej znaną piosenką

Piosenki o miłości w każdym języku mają niezwykły klimat.
Fot. Piotr Spigiel

ukraińską, jeśli chodzi o częstotliwość jej wykonywania przez ludzi, którzy mieszkają poza Ukrainą i nie są Ukraińcami. Tak jak piosenka „Hej, sokoły” jest kojarzona z Polską, tak „Tyż mene pidmanuła” kojarzy się z Ukrainą. Przy czym melodyka tej ostatniej jest dokładnie taka sama jak melodia „Hej, sokoły”. Te piosenki różnią się tylko rytmicznie – i to w niewielkim stopniu – oraz tekstem, bo jeżeli „Hej, sokoły” dotyczy miłości z wojną w tle, to „Tyż mene pidmanuła” bezpośrednio śpiewana przez faceta dotyczy konkretnej dziewczyny. W poniedziałek mu zaproponowała spotkanie, na które tylko on się stawił, czyli go oszukała – „pidmanuła”. Potem we wtorek zaprosiła w inne miejsce i znowu nie przyszła – i tak do niedzieli. Czasem nawet śpiewa się taką dodatkową zwrotkę, że ona mówiła, że umrze, on dla niej zrobił trumnę, a ona żyje nadal – znów oszukała. W każdym razie uznałem, że skoro Polska i Ukraina, dwa państwa położone po sąsiedzku, mają dwie bardzo podobne piosenki, to też coś musi znaczyć i warto to podkreślić. Dlatego ona wyłądowna na liście i nią właśnie koncert się zakończył.

Jednak bisowałeś, jak już mówiliśmy, po karaïmsku. (śmiech) Czy mógłbyś nam opowiedzieć o swoim rodowodzie, bo jeśli dobrze rozumiem,

oprócz ukraińskich i karaïmskich masz też polskie korzenie? Na ile te wszystkie języki są związane z twoją rodzinną historią?

I karaïmska, i polska historia jest po stronie rodziny mojej mamy, Wiktorii Ilnickiej-Kuliczenko. Mój dziadek Ilnicki z pochodzenia był Polakiem, o czym czasami w domu mówiono, a babcia Alina była Karaïmką i od małego wiedziałem, że jestem też potomkiem karaïmskich rodów Szpakowskich i Grygulewiczów. Natomiast jeśli chodzi o język, to ukraiński opanowałem w sposób najbardziej naturalny. Dla mnie to jest nonsens, że można urodzić się na Ukrainie, mieszkać tam co najmniej dziesięć lat, chodzić do szkoły i nie znać tego języka.

Twój tata jest rodowitym Ukraińcem, prawda? Czyli nie tylko szkoła, ale i rodzina.

Przed wszystkim rodzina! W domu ukraiński był, tak samo jak był język rosyjski. To dlatego, że ja jestem urodzony w roku 1989. Wtedy jeszcze Ukraina, niestety moim zdaniem, wchodziła w skład Związku Radzieckiego, który bardzo, ale to bardzo, się dołożył do tego, żeby głównym językiem na wszystkich jego terenach był rosyjski. Związek Radziecki przestał istnieć w roku 1991, więc od mojego urodzenia aż do tamtego momentu nikt nie wiedział, co to będzie, jak to



Patrycja Betley, Karolina Matuszkiewicz i Mateusz Szemraj towarzyszą Miszy w prezentowaniu trójjęzycznych tradycji. Fot. Piotr Spigiel

będzie. Moi rodzice wyszli z założenia, że skoro ja się urodziłem w Republice Ukraina i ponieważ oboje swobodnie posługują się ukraińskim, to trzeba do mnie mówić także w tym języku. Ze sobą rozmawiali też oczywiście po rosyjsku, nawet częściej niż po ukraińsku, ale ja się bardzo cieszę, że od nich słyszałem język tej ziemi – bo ja nie uważam, że Związek Radziecki był krajem czy państwem, to był raczej sojusz państw, coś w rodzaju unii.

Rozpocznę szkołę podstawową jako dziecko dwujęzyczne?

Znałem podstawy i ukraińskiego, i rosyjskiego, w obu językach umiałem mówić, czytać i tak dalej. Do dzisiaj mam tak, że gdy ktoś zwraca się do mnie po ukraińsku, zawsze chętnie z tą osobą porozmawiam w tym języku. Zanim zaczęła się wojna, mogłem też prowadzić swobodną rozmowę po rosyjsku nawet z ludźmi, którzy też znali ukraiński, ale pewniej się czuli w rosyjskim. Jednak obecnie język rosyjski jest przede mną bardzo rzadko używany, wyłącznie w sytuacjach, kiedy to na nic nie wpływa. Nie publicznie, nie w kontaktach z Ukraińcami ani w sprawach, które dotyczą Ukrainy – wtedy ukraiński ma absolutny priorytet.

Czy mieszkając na Ukrainie miałeś jakiś kontakt z polszczyzną?

Jeśli chodzi o moje życie w Kijowie, to z polskim miałem do czynienia kiedyś w szkole. Pamiętam, że kiedy chodziłem chyba do trzeciej klasy, na lekcję przyszedł taki pan z krótkim ogłoszeniem: „Dzień dobry, jestem nauczycielem języka polskiego. Jeżeli ktoś by chciał, to zapraszam po zajęcia, absolutnie za darmo, każdego chętnego”. Ja w szkole od małego miałem lekcje niemieckiego, więc już w drugiej klasie właściwie jako tako go znałem. Wtedy pomyślałem: czemu nie, polski też może być. Tym bardziej, że już uczyliśmy się historii i plus minusz zdawałem sobie sprawę, że Polska leży obok, że to nasz sąsiad. Trochę pochodziłem na te lekcje, ale w tamtym czasie absorbowały mnie liczne zajęcia poza szkołą, czyli dwa lub trzy razy w tygodniu basen, do tego szkoła muzyczna, bo tam uczyłem się gry na skrzypcach oraz miałem zajęcia w chórze, z solfeżu, z literatury muzycznej. Chyba jako dziecko nie wytrzymałem tej intensywności i dlatego zrezygnowałem z nauki polskiego, ale niektóre słowa mi w głowie



zostały. Pamiętam, jak nazywała się moja pierwsza książka, którą próbowałem czytać. Potem była długa przerwa i zacząłem ten język sobie odświeżać dopiero po tym, jak przyjechałem do Polski na urlop.

Chreshchatyk –
główna aleja Kijowa.
Fot. Mariola Abkowicz

À propos edukacji muzycznej, czy pamiętasz ten moment, kiedy poczułeś, że chcesz się zajmować muzyką?

Na pewno wcześniej zacząłem śpiewać niż grać. W każdym razie myślałem, że śpiewam, a jak to było, nie wiem, bo byłem jeszcze mały. Spore wrażenie na mnie zrobiło karaoke i ta jego funkcja oceniająca, bo za śpiewanie przyznawano tam jakieś punkty. Nawet potem dostałem na urodziny swój własny zestaw karaoke i na nim ćwiczyłem. Gra na instrumencie pojawiła się w moim życiu bardzo spontanicznie. Po rozwodzie moich rodziców przenieśliśmy się z mamą do innego mieszkania, niedaleko którego była szkoła muzyczna i obok szkoły zwykła. Być może mama chciała wykorzystać bliskość tych dwóch instytucji edukacyjnych, ale pamiętam też, że w domu mnie pytała, czy chciałbym grać na jakimś instrumencie – i mi się ten pomysł podobał. Któregoś dnia przyszedliśmy do szkoły muzycznej. Spytałem, jaki instrument nas ciekawi, a ja odpowiedziałem: trąbka. Tak czułem, że może nie aż tak ciężko na tym grać, tylko trzy przyciski, a instrument też ładny, błyszczący, metalowy. Ale powiedzieli, że do trąbki mam jeszcze za małe płuca.

Ile wtedy miałeś lat?

Niecałe siedem. To się działo tuż przed pójściem do szkoły podstawowej. Za małe płuca. Ale poszła do mnie taka pani i mówi: „To może na innym instrumencie? Chodź, ja ci pokażę skrzypce”. Pokazała, zagrała, spytała, jak mi się podoba. Odpowiedziałem: „No bardzo ładnie pani zagrała”. „A chciałbyś też tak?” No i tak wyszło, samo z siebie, że jednak skrzypce. I po siedmiu latach uzyskałem świadectwo ukończenia tej szkoły w klasie skrzypiec, ale to nie poszło dalej. Ja się w skrzypcach nie rozwijałem, nie miałem pomysłu, co z tym fantem zrobić. Z drugiej strony mam za sobą naukę, która, jak to się mówi, „wyćwiczyła mi ucho”, czyli słuch, co potem bardzo pomogło mi w śpiewie, bo słyszałem już takie rzeczy, na jakie wcześniej nie zwracałem uwagi. Jako uczeń tej szkoły chodziłem też na chór, często śpiewałem w chórze, a także brałem lekcje solfeżu, który dodał trochę merytoryki do tej mojej wiedzy na temat nut, interwałów, zapisywania tych nut.

A co się działo po ukończeniu szkoły muzycznej?

Jako czternastolatek trafiłem do kijowskiego chóru „Dzwinczok”, po polsku „Dzwoneczek”. Śpiewają tam i dzieci, i dorośli, ale to wyłącznie męski chór. Jest znany jako laureat nagród w wielu konkursach na Ukrainie, a poza jej granicami z organizowanych w miarę regularnie tras koncertowych, między innymi na Łotwie, w Holandii, w Belgii, czasem w Rosji – w Sankt Petersburgu. Występowaliśmy regularnie w kościołach i w Filharmonii Kijowskiej – ja jako dyskant, czyli najwyższy głos w chórze. Jednak gdy skończyłem szesnaście lat, zaczął mi łamać się głos – tak zwane „koguty” mi przeskakiwały – i musiałem zrobić sobie przerwę. Kiedy wróciłem po niecałych dwóch latach, nasz dyrygent powiedział, że teraz jestem barytonem. Mogłem śpiewać nieco niżej, to wtedy byłbym jako wysoki bas, albo nieco wyżej jako niski tenor. Natomiast partia barytonowa nie bardzo mi się podobała, bo nie była wiodąca, nie była główna – i czasami po prostu za ciężka dla mnie, przecież śpiewaliśmy i muzykę religijną, bardzo skomplikowaną dla barytonów. Zresztą nie miałem za bardzo czasu na te trzy dni w tygodniu, Kijów to duże miasto, same dojazdy niekiedy zajmowały mi półtorej godziny, a przecież oprócz tego była uczelnia, praca. Musiałem od razu po skończeniu studiów szukać pracy, bo w rodzinie niestety

sytuacja nie wyglądała najlepiej: babcia miała wylew, najpierw trafiła do szpitala, potem trzeba było się nią opiekować, dla chóru już czasu nie starczyło. To tyle, jeśli chodzi o śpiew.

No tak, ale jest jeszcze gitara, twój nieodłączny atrybut sceniczny.

Sam się na niej nauczyłem grać, bo przyszedł mi do głowy pomysł, że mógłbym grać i śpiewać i fajnie to by wychodziło. Na urodzinach mojego chrzestnego jego brat pokazał mi trzy podstawowe chwytgitary. A później już włączyłem sobie YouTube, pożyczałem gitarę od znajomych, bo swojej nie miałem, i tak powoli, chwytem, nauczyłem się tego instrumentu, nauczyłem się bicia gitarowego, bo ja gram bez kostki, więc stwierdziłem, że skoro mam pięć palców, to trzeba je wykorzystać do gry. Połączyłem tę grę i śpiew już tutaj w Polsce, kiedy przez Mariolę Abkowicz zostałem zaproszony gościnnie na finisaż wystawy „Karaj Jołłary – Karaimskie drogi” w Lublinie organizowany przez Grzegorza Kuprianowicza, przedstawiciela mniejszości ukraińskiej. To nawet nie był koncert, raczej taki króciutki występ, pamiętam, że tańczył zespół „Dostłar”, a ja się tam pojawiłem jako część muzyczna. I od tego się zaczęło.



Który to był rok?

2015, wkrótce po moim przyjeździe do Polski. Pamiętam, że gitarę pożyczyła mi wtedy koleżanka Marioli, bo przecież nie było skąd brać, zresztą jeszcze nie wiedziałem, jak to się wszystko potoczy.

Występ Miszy na finisażu wystawy „Karaj Jołłary” w Lublinie, 2015 rok.
Fot. Małgorzata Koziot

Wróćmy jeszcze na chwilę do twojej uczelni w Kijowie, która z muzyką nie miała nic wspólnego. Jak wspominasz swoje studia wyższe?

Hm... W ostatniej, czyli dziesiątej klasie popełniłem błąd na etapie wybierania kierunku i okazało się, że może nie do końca dobrze zapoznałem się z ofertą uczelni. Liczyłem na nieco inny przekrój związany ze specjalizacją, jaką w efekcie studiowałem, ale zbyt luźno. Po dwóch latach już wiedziałem, że raczej to będzie mnie w przyszłości mało interesowało, ale uznałem, że skoro zaliczyłem połowę studiów, a zostało mi tyle samo, więc to jednak ukończę i zdobędę dyplom.

Jaki kierunek skończyłeś?

Skończyłem inżynierię nafto-gazową.

To musiało być spore wyzwanie, nie wiedziałam, że oprócz muzyki potrafisz na serio zmierzyć się z naukami ścisłymi.

Przy czym nigdy tak naprawdę za naukami ścisłymi nie przepadałem. Oczywiście, miałem po szkole jakiś багаż, ale nigdy nie myślałem, że zwiążę z nimi w przyszłości swój zawód. Natomiast podkreślałam, że osoba, która ma szesnaście lat i musi zdecydować, gdzie spędzi kolejne cztery, staje od razu wobec poważnego wyzwania, bo do wyboru jest wiele miejsc, i ciężko wtedy odpowiedzieć na pytanie: „Co chcesz robić w życiu?”. A zwłaszcza, kiedy opcji tak naprawdę jest sporo. Dlatego moja rada dla wszystkich w tej sytuacji jest taka, żeby bardzo dokładnie zapoznać się z ofertą, może dopytać u kogoś, kto wie więcej albo ma jakieś doświadczenie na tym polu. Bo ja zamiast szerszego tematu dotyczącego nafty i gazu dostałem ścisły, ale bardzo intensywny kurs z teorią maszyn, mechanizmów, oporem materiałów, geodezją, geologią i tak dalej.

Ale godne podziwu jest, że mimo rozczarowania nie poddałeś się i doszedłeś do dyplomu.

To raczej zasługa moich rodziców, nie moja. Miałem kryzys, jak każdy człowiek, który robi nie to, co chciałby robić. Rodzice przedstawili mi logiczny argument, że minęła połowa, czyli każdego dnia z tych dwóch lat zostanie trochę mniej, już będzie z górki. A druga rzecz, że to rodzice opłacali mi koszty studiowania. Mój świętej pamięci ojczym, który uwielbiał fotografię, musiał niestety pewnego dnia sprzedać swój aparat, żeby zapłacić za moje studia. Tak więc ja sobie bym nie



wybaczył, gdybym spał na wszystko. Pomyślałem, że skoro dla niego to było tak ważne, to dla mnie nie może być mniej ważne.

Na wystawie „Karaj Joffary” w Środzie Śląskiej, 2016 rok. Fot. Aleksander Kliński

Czym się zająłeś po zakończeniu studiów?

U mnie to wszystko poszło bardzo prozaicznie. Skończyłem te cztery lata i pomyślałem, że skoro przede mną jeszcze napisanie pracy magisterskiej, to mogę to zrobić, równocześnie pracując zarobkowo. Nie mając jeszcze dyplomu, nawet nie szukałem ofert w tym zawodzie. Znalazłem zatrudnienie w firmie, która sprzedawała sprzęt elektroniczny, a ja już o tym co nieco wiedziałem dzięki mojej uczelni. Po obronie tytułu magistra kontynuowałem pracę w tej firmie, ale z czasem zmieniłem ją na inną. Półtora roku później Rosja odebrała Ukrainie Krym, wcześniej była rewolucja. To był dla mnie okres, kiedy nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, dokąd to wszystko zmierza, bo przyszłość zapowiadała się dość posępnie. Czułem się pogubiony, niezdecydowany, jakbym przechodził kolejny kryzys. Wtedy postanowiłem, że skoro należy mi się urlop, to go wezmę, i pojechałem na Litwę. Polska była tuż obok, też chciałem ją trochę pozwiedzać, chociażby Warszawę. W tym samym czasie dostałem zaproszenie od Marioli Abkowicz, że może by tak odwiedzić Wrocław. Ja nigdy wcześniej tam nie byłem, więc stwierdziłem: czemu nie. A jak już przyjechałem, to do dzisiaj ten urlop mi się przedłużył.

(śmiech) Pracowity urlop... A kiedy nauczyłeś się angielskiego? Podczas międzykontynentalnej

konferencji w Bautzen miło mi było usłyszeć, jak piękną angielszczyzną, ze swadą i dobrym akcentem zapowiadasz karaimskie piosenki, które tam zaśpiewałeś

Z angielskim było tak, że moja mama stwierdziła, że ten język może mi się bardzo przydać. To było jeszcze przed szkołą, miałem pięć czy może sześć lat, kiedy poszedłem na kurs angielskiego dla dzieci. Kurs był podstawowy, uczono nas jak powiedzieć „pies”, jak powiedzieć „kot” i tak dalej, ale w sposób interaktywny, więc łatwo się zapamiętywało materiał z każdej lekcji. I tak powoli, powoli ten mój bagaż angielskiego zaczął przybierać konkretne kształty. Potem w szkole muzycznej przez co najmniej pięć lat chodziłem na lekcje do nauczyciela angielskiego, Wołodymyra Homeniuka. Ten pan bardzo subtelnie podchodził do poziomu każdego z grupy, mnie wyróżniał za dobrą wymowę, ale wskazywał mi braki w gramatyce, ktoś inny na odwrót – świetnie pisał, ale mówił z ciężkim akcentem. On każdego ucznia traktował indywidualnie. I to wszystko, co mi zostało z angielskiego, zawdzięczam jemu. Bardzo dużo też muzyki wykorzystywał podczas tych zajęć, wiele piosenek – bo on uczył także gry na gitarze klasycznej, więc nie było dla niego problemem połączenie leciutkiego tekstu z melodią. Nagrywał dla nas takie audiokasety, żebyśmy mogli w domu odsłuchać każdą lekcję. Dawał nam wydrukowany tekst i do tego audiokasety, więc czytaliśmy i słuchaliśmy równocześnie.

W szkole powszechnej też był angielski?

Tak, ale dopiero od piątej klasy i to zupełnie od podstaw, które znałem od dawna. W końcu nauczycielka po rozmowie z moją mamą zwolniła mnie z obowiązku chodzenia na te lekcje. Jednak później zmieniłem szkołę i tam mieli specjalny kurs z angielskim wykładowym. Na początku nawet ciężko mi było ze słownictwem, bo poruszaliśmy takie tematy jak ekologia, geografia, polityka i tym podobne.

A niemiecki jeszcze pamiętasz? Tego języka uczyłeś się w swojej pierwszej szkole podstawowej, prawda?

Tak, tam z kolei niemiecki stał na wysokim poziomie. W chwili obecnej mój niemiecki porównałbym do porzuconego w dobrym stanie auta, które po latach tkwienia na parkingu musi zostać doprowadzone do takiej kondycji, która pozwoli



na bezpieczną jazdę. Czyli: odkurzyć, odświeżyć, umyć, podkręcić i tak dalej.

Podczas konferencji w Bautzen. Fot. Tomasz Wicherkiewicz

Mama zadbała o twoje wszechstronne wykształcenie, ale wiem też, że zaszczerpiła ci bezwarunkową miłość do zwierząt. Czy zechciałbyś nam o tym opowiedzieć?

Oczywiście, bo w moim życiu zwierzęta zajmują dość poważne miejsce, widzę, że one czasami zachowują się lepiej niż ludzie. Kiedy miałem cztery lata, może pięć, mama przysłała do domu z młodziutką sunią, którą znalazła w deszczu na przystanku przemoczoną do suchej nitki. Wzięła ją do pracy, a potem do domu i tak już zostało. Później wybraliśmy się na wystawę kotów rasowych w Kijowie. I wyobraź sobie, wśród tych wszystkich kotów była klatka z trzema szczeniętami – pekińczykami. A że moja mama bardzo lubiła czytać książki Jamesa Herriota i Geralda Durrella, którzy pisali o pekińczykach, nie mogło się to skończyć inaczej. Kupiliśmy najaktywniejszego z tych szczeniactków i mama była bardzo zadowolona, mówiła, że to idealne połączenie lwa i małpy – twarz małpy, ale serce lwa. I pamiętam, że jak grałem na skrzypcach, to ten pies ze mną śpiewał, reagował też na dzwonki, naprawdę był muzykalny.

Czyli jednak psy? Ja kojarzę cię głównie z kotami...

Koty zaczęły się pojawiać w naszym życiu później. Pierwszy kot miał być w założeniu towarzyszem dla pekińczyka. Chodziliśmy po bazarze ze

zwierzętami i szukaliśmy konkretnej rasy. Usłyszała to pewna pani i powiedziała, że zna takiego kota z rodowodem, nieco już starszego, którego kupiła zamożna rodzina jej pracodawców. Lecz ci ludzie go zaniedbali do tego stopnia, że kot mieszkał pod wanną – wychudzony, skulony ze strachu. Pojechaliśmy tam i od razu mojej mamie zaufała. Zamieszkał z nami, ale jeszcze przez dwa lata miał taki odruch, że gdy ktoś nas odwiedzał, on uciekał pod wannę. Później którejś jesiennej nocy mama usłyszała zza okna jakieś piski, dla nas z ojczymem niewyczuwalne. Rodzice wzięli latarki i znaleźli zawiązany worek z dwoma chudziutkimi kociakami. W domu mama ugotowała kaszę mannę z mlekiem, nałożyła do strzykawek bez igły, koty łapkami obejmowały strzykawkę, i tak je powoli odkarmiliśmy. Kociak trafił potem do naszych znajomych, bo był atrakcyjny, czarny jak węgiel, ale jego siostrzyczki o typowym wyglądzie dachowca nikt nie chciał, toteż została u nas.

To już spora gromadka!

A trzecia kotka, częściowo sparaliżowana po strzeleniu w grzbiet przez człowieka, któremu przeszkadzała spać, wypełzła z krzaków, kiedy odpoczywaliśmy u znajomych na działkach. Poruszała się tylko na przednich łapach i mama stwierdziła, że musi ją natychmiast zabrać do weterynarza. On jednak powiedział, że operacja wyjęcia kuli z kręgosłupa stanowiłaby ogromne ryzyko dla życia zwierzątka. Decyzji o uspieniu kotki mama nie była w stanie zaakceptować, więc przybył nam nowy członek rodziny – niepełnosprawny, ale nie mniej kochany. Obie kotki nadal żyją w mieszkaniu mamy i mają się nieźle, chociaż jedna głucha, a druga sparaliżowana, lecz pekińczyk niestety zmarł nam na zawał. Jeszcze jednego kota wykurowali w taki sam sposób, strzykawkami z kaszką, mama z ojczymem, ale on potem tego rudzielca podarował swojej siostrze według zasady: „życie bez kota to głupota”.

Pamiętam, jak latem tego roku poznałam cię osobiście we Wrocławiu. Następnego dnia rozjeżdżałyśmy się z Mariolą na dwie różne konferencje i ona ci przekazywała pałeczkę opieki nad swoimi dwoma kotami. Zdziwiło mnie wtedy, że te zwierzęta mają w twojej osobie takiego eksperta i czulego opiekuna.

(śmiech) Bo też to nie są tak do końca wyłącznie jej koty! Markusa nadal uważam za mojego, a i Xena sama nie trafiłaby do Wrocławia

Zamieniam się w słuch... Czyżby te elegancie koty, które z godnością towarzyszą Marioli podczas naszych spotkań online, też nie miały łatwo na początku?

Kiedyś w sprawach pracy musiałem pojechać na kopalnię, by odebrać zamówiony towar. Wysiadłem z busa i zauważyłem białego kotka, może dwu- lub trzymiesięcznego, oczy już miał otwarte. Na moje „kici-kici” wcale nie uciekł, podszedł, dał się pogłaskać, a taki był malutki, że cały mi się mieścił w dłoni. Szkoda mi go było, że tu siedzi na kopalni wśród przejeżdżających traktorów, ciężarówek, buldożerów. Przecież wystarczyłoby, że z takiego auta spadnie pięć kilo piachu i pogrzebie kociaka. Jednak jako osobie, która nie miała własnego mieszkania, a tylko pokój u cioci Zosi Abkowiczowej, mamy Marioli, głupio mi jednak było podejmować decyzję, bo przecież Mariola mogłaby powiedzieć: „Nie, absolutnie, odwieź go z powrotem”. Pożegnałem się z maluszką, załatwiłem papiery w biurze, wyjeżdżam, przejechałem z pięćdziesiąt kilometrów i sięgnąłem po bluzę, która leżała na siedzeniu po prawej stronie. Patrzę, a wtulony w moją bluzę śpi skręcony jak precelek ten kotek. Pewnie w momencie, kiedy wsiałem do busa i szukałem zapalniczki, on wskoczył do środka, a kiedy palifem na zewnątrz, zdążył się wygodnie ułożyć. W efekcie przywoziłem go do Wrocławia, kot się rozglądał po mieszkaniu, taki był ciekawy życia, energiczny, odruchowo nadałem mu nawet imię – Markus, a potem już tylko myślałem: „Czemu ja? Czemu to akurat na mnie takie dylematy spadają?”. W tamtym momencie ja odpowiadałem za to, żeby u cioci Zosi było wszystko w porządku, bo Mariola była gdzieś w rozjazdach. Kiedy do mnie zadzwoniła, nie wiedziałem, jak jej to powiedzieć, więc po prostu wysłałem jej zdjęcie kota przy doniczce. Zastanawiałem się, jak szukać dla niego domu, ale potem Mariola wróciła, popatrzyła i tak pomyśleliśmy, że może nawet to dla cioci Zosi dobrze, że Markus dostarczy jej trochę rozrywki, kiedy i Mariola, i ja jesteśmy w pracy.

Ale na początku pewnie rozrabiał?

Obowiązkowo, jak to malec, ale go trochę wychowałem, mówiłem: „Tego nie wolno”, „Tu nie sikaj”. Mieliśmy po prostu sztamę. Jak się rozbawił na drapak i za mocno gryzł mnie w rękę, to ja robiłem taki dźwięk: „szsz!” i on na to reagował, uszy tak składał jak skrzydła, wiedział, że przesadził.



Z zespołem „Н’лем folk”.
Zdjęcie z archiwum
zespołu

Potem pojechałem do Warszawy i Mariola mi nagle pisze, że gdzieś przeczytała, że kot musi mieć przyjaciela do zabawy i koniecznie muszą być dwa. I że właśnie u jej przyjaciółki w Warszawie jest taka kotka do odbioru, znaleziona na ulicy, proszę, oto zdjęcie, w większości czarna, buźka biała z czarną plamką na brodzie. No dobrze, zabrałem tę malutką do Wrocławia i zaczęła się z Markusem dogadywać, chociaż na początku bardzo się o nią bałem, zwłaszcza jak Markus, już roczny, podchodził do transportera, w którym ona leżała, i przeciągle na nią ryczał. Nigdy wcześniej nie widziałem go tak agresywnego, ale na szczęście nie rzucał się na nią, tylko straszyl. W którymś momencie podszedł za blisko tego jej domku, a ona łapą tak uwaliła w ściankę, że on w sekundę znalazł się dwa metry dalej. Wtedy nadałem jej imię Xena – na cześć wojowniczej księżniczki, bohaterki popularnego serialu.

I oba teraz mieszkają u Marioli?

Owszem, bo po pewnym czasie tak się złożyło, że koty na dwa tygodnie musiały opuścić mieszkanie cioci Zosi. Jednak kiedy przyszedłem odebrać Markusa, Mariola się oburzyła: „No jak to? Rozdzielić je?!”. Zrozumiałem, że znalazłem się w pułapce. Powiedziałem: „Dobra, ale ja będę odwiedzał”. To może wyglądać, jakbym z kotem był w separacji, ale nie – kiedy jestem u Marioli, biorę go na kolana, pobawię się, taka idylla. I do tej pory pazury obu kotom obcinam tylko ja.

Skoro już w naszej opowieści wróciliśmy na Dolny Śląsk, chciałabym dowiedzieć się więcej o twoich muzycznych związkach z kulturą łemkowską.

W połowie roku 2018 odezwała do mnie się dziewczyna, którą poznałem w gronie Łemków na festiwalu „Watra”, i zapytała, czy nie chciałbym się dołączyć do ich projektu tworzenia niewielkiego zespołu. Ta Daria jest muzykiem z wykształcenia, kompozytorką, gra na saksofonie, skrzypcach, śpiewa. Wtedy z koleżanką Joanną, też śpiewającą, postanowiły spróbować czegoś nowego, a ja wniosłbym do składu gitarę i męski głos. Potem dołączył do nas Michał grający na akordeonie i we czwórkę staraliśmy się wymyślić, co mamy robić, jakie grać piosenki. Od razu zapadła decyzja, że nie chcemy robić tylko i wyłącznie folkowego programu, dlatego nazwaliśmy swój zespół po łemkowsku „Н’лем folk”, czyli „Nie tylko folk”. Na początku zajęliśmy się piosenkami, które wskazywała Daria. Ona miała taki piękny śpiewnik z dość starymi zapisami, być może po jakiejś babci, i z tego wybraliśmy ze cztery piosenki, żeby nauczyć się, zaśpiewać, zagrać, zobaczyć, co z tego wyjdzie.

To wszystko w tym czteroosobowym składzie?

Nie, później pojawił się Mateusz, który początkowo grał na kahonie. Nie wiem, czy wiesz – kahon to jest taka drewniana skrzynka, która w środku ma drobnutkie elementy brzmiące jak ziarenka

ryżu czy kaszy gryczanej. Przy uderzeniu daje taki dźwięk: „czuczuczuczucz”. Pierwszy nasz występ odbył się na „Watrze” w Zduni i potem już wiedzieliśmy, nad czym warto popracować, co ewentualnie zmienić. To wszystko działo się powolutku, na takiej zasadzie, że każdy z nas miał swoje życie i swoją pracę, które z powodzeniem łączył z próbami zespołu. Robiliśmy zrzutkę, bo musieliśmy wynajmować salę, początkowo na godzinę, co czasami było dla nas nawet za długo. Ale później nauczyliśmy się repertuaru i próby już trwały czasem i dwie godziny, bo chcieliśmy, żeby nasz koncert brzmiał mniej więcej profesjonalnie. Naszym celem nie było zarabianie pieniędzy na koncertach, robiliśmy to dla siebie. Oni są Łemkami z pochodzenia, ja tam byłem jako Ukrainiec. Połączyliśmy piosenki ukraińskie z łemkowskimi podrzucanymi nam przez Darię, a dodatkowo Daria i Mateusz mieli pomysły na piosenki autorskie.

Gdzie występowaliście?

Na „Watrze”, a także na przykład na wieczorze łemkowskim w pewnym pubie razem z dwoma innymi zespołami. Jednak potem twórczość zespołu poszła w inną stronę, niż to było deklarowane na początku. Doszedł do nas Marcin z gitarą basową, która oczywiście nie jest instrumentem folkowym. Mateusz i Marcin lubili taką ciężką, bardziej rockową muzykę, chcieli jeszcze dołączyć gitarę elektryczną i skrzypce. Zmiana repertuaru spowodowała, że ja zrozumiałem i otwarcie im powiedziałem, że niestety tej muzyki nie czuję. Jako wokalista zespołu musiałbym się podjąć żmudnej, ale dla mnie niepotrzebnie żmudnej, pracy. Na pewno można by znaleźć kogoś, kto takiej muzyki słucha, kto kocha taką muzykę i ta osoba robiłaby to z pasją, więc wszystkim byłoby łatwiej. Obgadaliśmy, nie było żadnego problemu, rozstaliśmy się po przyjacielsku.

Aczkolwiek kiedy później oni nagrywali płytę, zaprosili mnie do udziału. To było urocze, ten miły pomysł, by mnie włączyć, mimo że już z nimi nie występowałem. Miałem zaszczyt nagrać wtedy tę „Zagradoczkę”, o której już tu sporo mówiłem.

A co jako muzyk robiłeś po rozstaniu z zespołem łemkowskim?

Niestety miałem długą pauzę. Musiałem zadbać o inne sprawy, między innymi wyrabiałem sobie kartę pobytu w Polsce – i te starania też zajmowały trochę czasu. Poza tym praca, praca...

Codziennność, która potrafi nami zawiądnąć na dłuższy okres, ale potem możemy ją oswoić i znowu mamy czas na sztukę.

Dokładnie.

Czyli następna formacja, z którą pojawiliście się na scenie, to był zespół „Karolina Cicha i Spółka”?

Tak, i jako Karaim, który lubił grać i śpiewać karaimskie piosenki, miałem dużo szczęścia, że wziąłem udział w projekcie z muzykami tej klasy. Wspólne śpiewanie z Karoliną Cichą jest czymś niezwykłym. Jako wokalistka po jednym z występów pochwaliła mnie i to mi pozwoliło uwierzyć we własne siły wokalne. To była ważna cegiełka w murze mojej muzycznej pewności siebie, cenny dar, za który jestem wdzięczny.

Łemkowski i karaimski różnią się bardzo, ale w każdym najwidoczniej odnalazłeś część siebie.

Ja bym tych doświadczeń nie mógł porównać. Po łemkowsku co nieco rozumiem, dużo słów w tym języku brzmi podobnie do polskich albo ukraińskich. Przyswojenie i nauczenie się łemkowskich piosenek było dla mnie stosunkowo łatwe, wiedziałem, o czym śpiewam, nie musiałem prosić o tłumaczenie. A muzyka karaimska jest po prostu inna. Inna w brzmieniu, słowa zupełnie inne, artykulacja też musi być porządną, trzeba się tego wszystkiego uczyć od zera. Tu było zdecydowanie więcej pracy.

Z zespołem Karolina Cicha & Spółka na festiwalu Etnoport w Poznaniu, 2022 rok. Fot. Maciej Kaczyński



A jak wcześniej wyglądało twoje zanurzanie się w kulturę karaimską? Wspomniałeś o pierwszym przyjeździe na szkołę karaimskiego do Trok...

Po tym wyjeździe starałem się nie przegapić żadnego kolejnego, dlatego że w Kijowie wśród Karaimów nie miałem żadnych znajomych. Nawet nie chodzi o rówieśników, po prostu nie zdarzyło mi się nigdy przeżyć czegoś w stylu: „ja Karaim, ty Karaim, chodźmy razem, pogadamy”. Natomiast na Litwie to było takie doświadczenie międzynarodowe. Zobaczyłem, że jednak troszkę tych Karaimów jest, mieszkają w różnych miastach i państwach, ale mogą się w jednym miejscu spotkać i po prostu porozmawiać o tym, co robią, kim były ich babcie czy dziadkowie. Wtedy to było jakby rozszerzenie nauczanego w szkołach przedmiotu „historia” – podczas zajęć w Trokach dowiadywałem się ogólnie o historii Karaimów, o tradycji, o muzyce, o ważnych dla nas historycznych momentach. Do tego dochodziła też wiedza, że przykładowo moja rodzina pochodzi z miasta X, a do tego samego miasta w tamtych latach przeprowadziła się rodzina mojego obecnego rozmówcy... Czasami to było niesamowite do zrozumienia, bo mimo że inne państwo – przecież Litwa leży dość daleko od Ukrainy – to tu są moi krewni, a i w Polsce mieszkają osoby, z którymi mam częściowo wspólny rodowód. Wtedy zauważyłem, że życie rzeczywiście Karaimów porozrzuciło po tych wszystkich terenach. Dla mnie to było coś nowego do przemyślenia, ale i wspaniałego – taki rozrzut.

Nie miałeś problemów formalnych z przyjazdem na Litwę?

Nie zawsze to było łatwe, bo potrzebowałem wizy. Trzeba było poprosić o zaproszenie na konkretny termin i na ten czas wydawano wizę. Pamiętam, że jak skończyłem osiemnaście lat, to chciałem pojechać, ale nie miałem paszportu koniecznego dla osoby pełnoletniej. Poszedłem do komisariatu wojskowego z prośbą o pozwolenie, ale oni się uczepili jakiegoś drobiazgu i nie mogłem wyrobić paszportu. Starałem się tę szkołę odwiedzać sam albo z rodziną, raz byłem z babcią. Kiedy zacząłem pracować, ciężko było z urlopem, bo wolne chwile poświęcałem na magisterkę, potem doszły inne komplikacje i bodajże przez pięć lat nie dojechałem na Litwę.

Do momentu, kiedy już zamieszkałeś we Wrocławiu?

Jeśli chodzi o szkołę karaimskiego, to tak. Z Polski było łatwiej, nie trzeba było żadnych dodatkowych dokumentów, wsiadało się do autobusu czy potem do auta i jechało do Trok. I po dziś dzień stale tam jeżdżę.

Przyjazd do Polski oznaczał też rozstanie z Ukrainą. Za czym najbardziej tęskniłeś w tych pierwszych latach, kiedy jeszcze nie było mowy o wojnie? I za kim?

Za kim, to wiadomo – za moją rodziną i za kotami, bo dziwnie mi było, że oni są tam, a ja tu. Natomiast „za czym”? Warto pamiętać, że na początku ten pobyt we Wrocławiu odbierałem jako takie wakacje, nawet podjąłem pracę jako *freelancer*, czyli po prostu zdalnie, w firmie, w której wcześniej pracowałem stacjonarnie w Ukrainie. To też był okres, w którym uczyłem się polskiego, poznawałem ludzi, taki kalejdoskop zdarzeń i nowych twarzy. A człowiek nostalgii najmocniej odczuwa raczej w spokojniejszych chwilach. Na pewno tęskniłem za Kijowem, który uważam za bardzo ładne miasto. Generalnie rzecz biorąc, nie zwiedziłem Ukrainy tak, jak mi się udało pozwiedzać Polskę. Nie wiem dlaczego, może wynikało to z trybu życia, może z innych przyczyn, ale poza Kijowem byłem tylko w paru miastach, a przecież Ukraina jest duża i różnorodna. Oczywiście, kiedyś pojadę i pozwiedzam, teraz już nie sam. Bardzo chciałbym swoją dziewczynę zabrać tam w fajne miejsca, ale to są już plany idące za daleko. Na razie mama jest w Kijowie i ojciec też tam mieszka, a ja jestem tutaj. Całe szczęście, że raz na jakiś czas mama może do mnie przyjechać.

A Polska? Co dała ci dobrego?

Dużo rzeczy, naprawdę dużo. Przede wszystkim nauczyła mnie, jak można daleko od domu i rodziny jakoś swoje życie układać. Pokazała, że tu też są osoby, które troskliwie do mnie podchodzą, potrafią zrozumieć, potrafią pomóc. Na przykład z językiem – na początku słabo nim mówiłem, ale znalazło się dużo chętnych, którzy wspierali mnie w nauce, poprawiali błędy. Język polski zawdzięcza tym ludziom, przykładowo Mariola kiedyś poradziła, żebym zapisał się na kurs polskiego, gdzie nacisk stawiano na gramatykę. Kolega Melek, czyli Melchior Jakubowski, zabierał mnie do różnych historycznych miejsc, opowiadał, pokazywał.

Melchior, którego poznaliśmy na zajęciach w Trokach, a którego wykłady teraz obserwujemy na konferencjach naukowych online i nie tylko, jest z Warszawy, prawda? Oprowadzał cię po Mazowszu?

Nie, on jako historyk i historyk sztuki pokazywał mi miejsca na Dolnym Śląsku – byliśmy w Henrykowie, w Karpaczu i w Szklarskiej Porębie. W Karakonoskim Parku Narodowym kiedyś zeszliliśmy ze szlaku do Czech, tam przenocowaliśmy. We Wrocławiu był moim przewodnikiem po kościołach. Pytałem go o różne zjawiska i aspekty życia w Polsce, a on cierpliwie mi wszystko tłumaczył. I takich osób, jak Mariola, jak Melek, było naprawdę dużo. Przede wszystkim Polska dała mi do zrozumienia, że w życiu czasem warto wyjść poza pewne ramy i potem kto wie, może te ramy się poszerzą. Dała większą swobodę myślenia, więcej tematów do refleksji. A dodatkowo pozwoliła mi poznać inne kraje – tu Czechy, tam Niemcy – coś tam przeżyć, zostawić sobie w pamięci. Każdemu, kto ma podejście nieco bardziej konserwatywne, poleciłbym to rozważyć – bo świat jest duży i czasem warto tego doświadczyć. Ja tego doświadczyłem na przykładzie Polski i na pewno nie żałuję, wiem, że na mnie tu jakaś nisza czekała i cieszę się, że ją odnalazłem.

Wspominałeś już o swojej dziewczynie, a ja nie zapomnę, jak pięknie Iza zaśpiewała wtedy pod drzewem w Gdyni-Orłowie podczas twoich krótkich warsztatów dla dzieci. Na ile muzyka jest dla Izy istotna?

Muzyka w życiu Izy jest moim zdaniem bardzo ważna. Iza jest melomanem, wielbicielką piosenek, powiedziałbym, radiowych, takich bardziej popowych. Dla niej tekst ma decydujące znaczenie. Czasem o tym rozmawiamy, bo ta muzyka, której ja słucham, liczy się dla mnie ze względu na melodykę. Ja słyszę, jak leci melodia, a słowa dla mnie są na drugim miejscu. Jakbym chciał delektować się pięknym tekstem, poczytałbym sobie wiersze. Mnie najbardziej interesuje instrument, rytm, tempo. Dlatego zdarza mi się posłuchać oryginalnej wersji jakiejś piosenki, a potem jej *coveru* i uznać, że ten *cover*, na przykład aranżacja na inne instrumenty, „wymiała”, czyli że jest lepszy od początkowej wersji. A Iza potrafi śpiewać, ma słuch. Kiedyś wspólnie nagraliśmy, tak dla siebie, *cover* pewnej popularnej piosenki. To miało być dla Izy coś w rodzaju muzykoterapii, bo niestety

covid zabrał jej ojca. Chciałem odwrócić jej myśli od smutnej rzeczywistości, zaprosiłem ją do laptopa i tak – ze zwykłymi słuchawkami, na zwykłym laptopiku – nagraliśmy tę piosenkę. I gdy z ciekawości rozesłałem to nagranie po naszych znajomych, to po prostu Izce bili brawa – że bardzo przyjemny tembr głosu i super, i czemu ona nie śpiewa przed publicznością... Na ogół Iza jest człowiekiem dość nieśmiałym, ale kto wie, jakby miała chęć, to może kiedyś zaśpiewamy jako duet? To nie jest wykluczone.

Będziemy czekać. Jak się ma talent, to nic nie jest wykluczone. A wracając do bieżących planów, słyszałam, że w połowie grudnia „Zakorzenie” zabrzmiał w Poznaniu.

Mam nadzieję, że uda się zagrać ten koncert tak samo jak we Wrocławiu, jesteśmy w trakcie przygotowań.

Czy gdańszczanie, których we wrześniu zachwycała „Karaimska Mapa Muzyczna”, mogą liczyć na to, że kiedyś zagrać u nas „Zakorzenie”?

Ja bym to zagrał wszędzie, gdzie byliby chętni do słuchania. Oczywiście repertuar zebrany w tym programie nie jest jakoś szczególnie wybitny, natomiast te utwory dla mnie osobiście coś znaczą i tym zapragnąłem się podzielić. A skoro podczas tego koncertu brzmi śpiew w trzech językach, to ja bym chciał, żeby w jednym z nich każdy coś dla siebie tam znalazł. Bardzo tego życzę i widzom, no i nam, wykonawcom. Rzecz jasna, może te piosenki komuś się nie spodobać, może ktoś powie, że słyszał jakąś w innym, lepszym wykonaniu, ale to jest normalne i tak ma być.

(śmiech) Albo ktoś uzna, że twoja wersja „wymiała”.

No ja przepraszam, że używam takich slangowych określeń.

Ależ to jest świetne określenie! Nie zapomnij, że większość życia spędziłam wśród ludzi bardzo młodych, maturzystów, studentów. Uwielbiam powiedzonka moich uczniów, no powiedzmy – niektóre z nich. (śmiech) A jako rasowy polonista musisz ci powiedzieć, że błędów językowych w twojej polszczyźnie prawie nie słyszę, czasem może tylko jakieś brzmienie sympatycznie kresowe, jakiś zaskakujący szyk zdania... Lecz wracajmy do tematu –

pytałam o Gdańsk w kontekście „Zakorzenia”

Gdańsk jak najbardziej, zobaczymy, czy uda nam się urządzić coś w rodzaju trasy koncertowej, bo to musi pójść w świat, ktoś musi tego posłuchać i stwierdzić, czy w danym mieście znajdzie się publiczność. Zresztą co innego mój śpiew, a co innego ta piękna ekipa, z którą gram. Każdy z nich jest Profesjonalistą z wielkiej litery „P” i czasami, jak po mojej zwrotce jest jakaś kolejna grana, to mi nawet nie chce się kontynuować śpiewu, ja też chciałbym posłuchać ich interpretacji! A muszę śpiewać... Tak więc wiele zależy od grafiku tych ludzi, a także od ich chęci – bo nie wiem, jak to jest w innych branżach, ale muzyk, który śpiewa coś, czego nie czuje, bo nie podoba mu się tekst czy muzyka, po prostu traci czas, traci okazję, żeby zaśpiewać jakiś inny utwór.

Nie wyglądali na znudzonych. Każdy z nich w pełnym skupieniu roztaczał przed widzami odrębną, niedościgną magię swoich instrumentów. Może uchylił rąbka tajemnicy, czy raczej kurtyny, i powiesz, jak układa ci się współpraca ze „Spółką” Karoliny Cichej, czyli o współpracy z Karoliną Matuszkiewicz, Mateuszem Szemrajem i Patrycją Betley?

Komfortowo, lekko i inspirująco. Każdy z tych muzyków jest niesamowicie utalentowany i ma swój własny niepowtarzalny styl. Wiem, że mogę na nich liczyć, że są niezawodni. Ich wiedza i doświadczenie stanowiły mocny fundament, bez którego ten program nie mógłby powstać. Współpraca z nimi to prawdziwy zaszczyt i bardzo się cieszę, że los tak chciał, że w takim towarzystwie mogę tworzyć coś nowego. A przecież parę lat temu ich nawet nie znałem, tak krótko to zajęło – po prostu szok.

Czy w zanadrzu chowasz jeszcze jakieś marzenia artystyczne? I czy zdradzisz je czytelnikom?

Od dzieciństwa marzyłem o aktorstwie. Nie przestałem, dalej chciałbym zagrać rolę w jakiejś poważnej produkcji kinematograficznej, w serialu albo filmie, coś z siebie dać, ale także czegoś nowego doświadczyć. Może kiedyś, w przyszłości.

A jeśli chodzi o muzykę i piosenki, masz coś na horyzoncie?

Mi się wydaje, że wszystko zależy od tego, jak pokaże się ten obecny koncert. Jeżeli uda się go



trochę rozpowszechnić, zagrać w różnych miastach i się okaże, że to się sprawdza, że to zostaje w ludziach, być może pokuszę się o coś autorskiego. Czyli to, co ja chciałbym od siebie powiedzieć, do tego dodać muzykę... to może być po polsku, może być po ukraińsku, zobaczymy.

I skomponowałbyś taką piosenkę?

Myślę, że motyw tak, natomiast nad tekstem trzeba by dłużej posiedzieć. No bo ja mogę do melodii dołączyć jakieś podstawowe słowa, ale to nie o to chodzi, by ludzie słuchali czegoś w rodzaju: „wyszedłem z łazienki, zapomniałem swojej szczęki”. Jeśli chodzi o własne piosenki, widziałbym je z profesjonalnym tekstem rymowanym, intrygującym literacko. Żeby lakoniczne zdanie miało głębię, takie nieuchwytnie „coś więcej”. Lecz na to potrzeba czasu i przede wszystkim wiary w siebie, wiary, że to, co się robi, ma sens.

Tutaj jako widzowie mamy do spełnienia swoją rolę: brawami dodać ci tej wiary.

Od tego można by zacząć.

I na tym chyba skończymy, niech rytmiczny motyw braw towarzyszy naszym podziękowaniom za rozmowę. Wszystkiego harmonijnego, Misza! ■

Gitara, kamacze i oud to tylko część instrumentarium zespołu, 2023 rok. Fot. Piotr Spigiel